Leigh Brackett

Smocza królowa Jowisza

(The Dragon-Queen of Jupiter)

Planet Stories Summer 1941
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Tex poruszył się niespokojnie leżąc na parapecie muru i wpatrując się w gęstą, jowiszową mgłę. Tłusta wilgoć spływała po murze fortu, osadzając mu się na wargach. Wzdychając za gorącym, suchym powietrzem Teksasu i przeklinając swą żądzę przygód, która sprawiła, że go opuścił, przesunął krótkie, twarde jak stal ciało, i zmarszczył piaskoworude brwi w nieustannym, wytężonym wysiłku przeniknięcia wzrokiem przez mgłę.

Zduszony kaszel spowodował, że odwrócił głowę. Wyszeptał.

— Cześć, Breska.

Marsjanin wyszczerzył zęby w uśmiechu i położył się koło niego. Skórę miał spaloną wiatrem jak Tex, a jego czarne oczy otaczały zmarszczki spowodowane mrużeniem oczu w jaskrawym słońcu i chmurach pyłu.

Przez chwilę milczeli, czując jak pustynia stwarza więź między nimi. Potem Breska, tłumiąc kaszel, wychrypiał:

— Spóźniają się już o godzinę. Co oni kombinują?

Tex również był zaniepokojony. Atak mieszkańców bagien przypuszczany regularnie codziennie o świcie, był już mocno spóźniony.

— Pewnie obmyślają jakieś nowe sztuczki — odparł. — Cholera, chciałbym, żeby nasza zmiana już tutaj była. Mógłbym wykorzystać urlop.

Zęby Breski zajaśniały cynicznym błyskiem bieli.

— Jeśli szybko do nas nie dotrą, nie będzie to już miało znaczenia. W tym przypadku głód byłby przyjemniejszy niż bomby z żukami czy zielone węże. Hej, Tex. Idzie kapitan.

Pomostem na murze przemykał się kapitan John Smith – Smith było to popularne nazwisko w Legionie Ochotniczym. Na wychudłej twarzy oficera napięcie dodało kilka nowych rys, i niepokój Texa wzrósł.

Wiedział, że zapasy się kończą. Pilnie potrzebne było przeprowadzenie szeregu napraw. Czyżby oddziały, które miały ich zluzować, w ogóle miały się nie pojawić?

Ale uprzejmy angielski głos kapitana Smitha był tak spokojny, jakby dyskutował wyniki krykietowe, w wygodnym londyńskim klubie.

— Jakieś ślady żebraków, Tex?

— Nie, panie kapitanie. Ale mam przeczucie…

— Hm. Tak. Wszyscy je mamy. No cóż, bądź czujny…

Przerwał mu głośny krzyk. Dochodził gdzieś z dołu kwadratowej budowli. Tex zadrżał, przeciągając się na dół, przez zardzewiałą sieć przykrywającą wewnętrzny dziedziniec fortu.

Słyszał już takie krzyki.

Po śliskich kamieniach, szarpiąc coś na nadgarstku, biegł jeden z ludzi. Na pomoc zbiegli się inni, obdarte resztki sił, które trzy miesiące wcześniej wkroczyły do nowego Fortu Washington, jako jego pierwszy garnizon.

Mały zielony wąż na nadgarstku mężczyzny urósł niewiarygodnie. Zanim dotarli do niego pierwsi ludzie, owinął się wokół szyi swojej ofiary. Szybciej niż mogło nadążyć oko, przesunął kły z nadgarstka na gardło.

Człowiek nagle oszalał. Wyciągnął nóż i zaczął chlastać nim swoich towarzyszy, krzycząc, trzymając ich na dystans.

Potem nagle upadł. Zielony wąż, długi prawie na dziesięć stóp, wyswobodził się i pomknął w stronę tunelu drenażowego. Otoczyli go krzyczący ludzie, dobywający szybkostrzelnych pistoletów, ale kapitan Smith zawołał:

— Nie marnujcie amunicji, ludzie!

Zaskoczone twarze uniosły się w górę. Korzystając z tej sekundy zwłoki, wąż zwinął się i uderzył płaską głową o kratę.

W deszczu odłamków rdzy krata wyleciała, a wąż zniknął jak smuga zielonego ognia.

Tex usłyszał, jak Breska przeklina cicho pod nosem. W budowli zapadła nagła cisza. Ludzie obmacywali pękniętą kratę, z bladnącymi twarzami, gdy pojęli, co to oznacza. Dopóki nie pojawi się kolumna ze zmianą, nie mieli metalu do jej naprawy.

Przetransportowanie nawet najpotrzebniejszych rzeczy na te dzikie tereny, było trudne. Droga lotnicza nie wchodziła w grę, z powodu grubych na mile chmur i kaprysów pola magnetycznego. Nie będzie nowych dostaw metalu ani amunicji.

Tex zaklął.

— Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do tych robali, panie kapitanie. Grzechotniki u nas w domu, są przy nich jak dziecięca zabawka.

— To dosyć proste, naprawdę — odezwał się z roztargnieniem kapitan Smith, jego szare oczy śledziły obwisłą zardzewiałą sieć w dole. — Zielone węże, podobnie jak niektóre rodzaje płazińców, kurczą się równomiernie w okresach głodu. Mają również znacznie przyspieszony metabolizm. Kiedy zdobędą pokarm, którym jest krew, po prostu raptownie wracają do swoich normalnych rozmiarów. Wstrzyknięty jad powoduje, że ich ofiary nie mogą walczyć z napastnikiem, dopóki wąż się nie pożywi.

Breska warknął.

— Świetna sztuczka, którą wymyślili ludzie z bagien, polega na głodzeniu tych stworzeń, a następnie wsuwaniu ich do nas przez rury odpływowe. Są tak małe, że zupełnie ich nie widać, aż do ostatniej chwili.

— A potem mamy coś takiego — Tex skinął głową w stronę ciała. — Ciekawe kim jest ten ich wódz. Chętnie bym mu się przyjrzał.

— Tak — stwierdził kapitan Smith. — Ja też.

Odwrócił się, by odejść, przemykając się pod parapetem. Nigdy nie wiadomo, co mogło wyskoczyć na człowieka z mgły, kiedy stanowił dobry cel. Ciało przeniesiono do spalarni, ponieważ w tym upale nie było mowy o żadnej ceremonii pochówku. Wzrok Texa przyciągnęła biała plama; twarz jednego z żołnierzy w napięciu spoglądającego w górę, obserwującego oficera przez pordzewiałą siatkę.

Tex chrząknął.

— To twój rodak, Breska. Powiedziałbym, że nie jest już tak bardzo przekonany do idei uczynienia Jowisza[1] bezpiecznym dla kolonistów.

— Och, daj mu spokój, Tex. — Breska zdusił krótki atak kaszlu. — To tylko dzieciak, tęskni za domem i ma zadyszkę, jak ja. To nizinne powietrze nie jest dla nas zbyt dobre. Ale poczekaj tylko, aż wbijemy tym białym diabłom do głowy odrobinę rozsądku i zajmiemy wysokie płaskowyża.

Kiedy to kończył, Tex go nie słyszał. Rudowłosy człowiek z Zachodu patrzył prosto w górę, chwytając za broń.

Chwilę wcześniej, za murami nie było słychać ani widać zupełnie niczego. Teraz jednak mgła wypełniła się łopotem skrzydeł i przenikliwymi okrzykami triumfu. Pod murami, gdzie nad samą ziemią mgła wisiała w nieruchomych kłębach, z otaczających ich dzikich terytoriów, nietkniętych jeszcze nigdy stopą cywilizowanego człowieka, wyłoniło się mnóstwo na wpół widocznych ciał.

Szybkostrzelny pistolet w dłoni Texa podskoczył do góry i warknął ogniem. Kapitan Smith, leżąc na brzuchu, wydawał rozkazy rzeczowym, niespiesznym tonem. Bateria C w północno-wschodnim narożniku fortu włączyła się do walki, z głośnym rykiem wystrzeliwując w górę wybuchowe pociski, a za nią trzy inne, których zadaniem było utrzymywanie czystego powietrza nad fortem.

Serce Texa waliło. Dym prochowy gryzł mu nozdrza. Breska zaczął gwizdać przez zęby piosenkę, której nauczył go Tex, zatytułowaną „The Lone Prairee”.

Baterie prowadzące ogień naziemny, przygotowały broń, i otaczające fort błota pokryły się wyrastającymi z ziemi wysokimi rozbryzgami. Ale to nie wystarczało. Stanowiska ogniowe obsadzone były tylko w połowie, pozostała część mocno zredukowanego garnizonu przebywała poza służbą na dole, w kompleksie fortu.

Stłoczeni Jowiszanie wdrapywali się po zboczu wzgórza, na którym stał fort, atakując frontalnie i rozlewając się na boki, po dotarciu na twardy grunt. Mokradła na wschodzie i na zachodzie były absolutnie nie do przebycia nawet dla ludzi z bagien, co czyniło Fort Washington strategiczną i pożądaną twierdzą.

Tex obserwował napastników z mieszaniną podziwu i nienawiści. Mieli w sercu odwagę; taką, jaką musieli mieć Indianie w dawnych czasach w Ameryce. Byli też okrutni i cechował ich diabelski geniusz do obmyślania sztuczek.

Jeśli kolumna z luzującymi oddziałami nie pojawi się szybko, mogli wymyślić o jeden trik za dużo, i droga do przełomu stanie otworem.

[1] W oryginalnym tekście w Planet Stories, w tym miejscu występuje Wenus. Opowiadanie to zostało potem przerobione na „The Dragon-Queen of Venus”, poprzez konsekwentną zamianę odniesień do Jowisza, na Wenus (patrz porównanie w ISFDB). Jak widać, w pierwotnej redakcji panowało w tym zakresie pewne zamieszanie (przyp. tłum.)

Cienka, z trudem utrzymywana linia posterunków granicznych mogła zostać oskrzydlona, odcięta i unicestwiona.

Tex wzdrygnął się na myśl, co by to oznaczało dla kolonistów, którzy ufnie przybyli już na urodzajne płaskowyże.

Leniwy wiaterek odepchnął mgłę na południe, w bagna, i Tex po raz pierwszy wyraźnie zobaczył nieprzyjaciela. Serce zabiło mu gwałtownie.

To nie był zwykły rajd. To był zmasowany atak.

Pod murami roiły się hordy wysokich wojowników, bladoskórych olbrzymów z Krainy Bez Słońca, o śnieżnobiałych włosach zwiniętych u podstawy czaszki w wojenne pałki. Nosili pasy z gadziej skóry, a przez muskularne ramiona mieli przewieszone worki. W rękach trzymali maczugi i prymitywne łuki.

U ich boku, rycząc i sycząc, biegły ich psy wojenne; na wpół wyprostowane gady o chwytnych łapach, z potężnymi ogonami uzbrojonymi w sztuczne kościane kolce.

O ściany uderzyły drabiny. Ludzie i bestie zaczęli się wspinać, osłaniani przez leżących na ziemi towarzyszy, którzy rzucali wyciągane z worków granaty ze spieczonego mułu.

— Bomby z żukami! — wrzasnął Tex. — Pilnować się!

Odepchnął jedną z drabin od muru i strzelił prosto w bladą jak śmierć twarz.

Lecąca gliniana kula pękła tuż obok człowieka, który otworzył ogień z najbliższej armaty ostrzeliwującej ziemię, i w ułamku sekundy każdy nieosłonięty cal jego ciała, pokryty został warstwą ogromnych szkarłatnych chrząszczy.

Piegowata twarz Texa stwardniała. Krzyki człowieka przeszyły powietrze, przebijając się przez łopot skrzydeł. Tex uważnie wsadził mu kulę w głowę i przerzucił zwłoki przez parapet. Niektóre z chrząszczy odpadły od ciała, i przed oczyma mignęła mu kość, już naga i błyszcząca.

Pociski spadały z góry jak deszcz; bomby z żukami, zielone węże skurczone z głodu do rozmiarów robaków. Ludzie wypadli teraz z budynku, ale te kilka sekund opóźnienia okazało się prawie zabójcze.

Napastnicy atakujący z powietrza stali się widoczni w przerzedzającej się mgle – lekko zbudowani ludzie dosiadający ogromnych stworzeń, będących na pół ptakami, na pół jaszczurami.

Pordzewiała sieć szarpnęła się, wychwytując ciężkie ciała jeźdźca i jaszczura, zestrzelonych przez działa. Tex wstrzymał oddech. Tylko ta sieć chroniła ich przed skoordynowanym atakiem nurkowym, który pozwoliłby tubylcom postawić stopę na murach.

Jedno z dział w Baterii A zamilkło. Rdza, gdzieś w mechanizmie. Żadne ilości smaru nie potrafiły jej powstrzymać.

Breska zaklął siarczyście i przydepnął nogą, miażdżąc małe zielone stworzenie. Po kamieniach pełzały czerwone chrząszcze – dzięki Bogu, że nie potrafiły latać. Ludzie walczyli z wężami i ginęli. Nagle kolejne z dział przestało strzelać.

Tex strzelał miarowo w wyrastające nad parapetem dzikie, białe głowy. Żołnierz obok niego potknął się i przewrócił na zainfekowane kamienie.

Żarłoczna szkarłatna powódź zalała go i w ciągu czterdziestu sekund jego mundur opadał na nagie kości.

Krzyk Breski ostrzegł Texa, aby się odsunął, gdy na pomost na murze opadł jaszczur. Jeździec przeciął strumień chrząszczy i wierzchowiec zaczął spadać. Jego skrzydła biły tuż nad głową Texa, który przykucnął, celując do góry.

Piegowata twarz żołnierza zastygła w wyrazie kompletnego niedowierzania.

Była prześliczna. Szaro-zielony tułów jej wierzchowca otaczały perłowobiałe uda, srebrne włosy wypływały spod diademu ze skóry węża z rogami bagiennego nosorożca, smukłe ciało odziane było w pas i napierśniki z opalizujących łusek.

Jej twarz również była piękna, jak wycięta z masy perłowej maska. Ale oczy płonęły bladozielonym płomieniem, a srebrne brwi nad nimi ściągnięte były w prostą gniewną linię.

Tex w żadnej żywej istocie nigdy jeszcze nie widział takiej zimnej, zaciekłej nienawiści; nawet w zwiniętym do ataku grzechotniku.

Broń miał wycelowaną, ale jakoś nie potrafił pociągnąć za spust. Zanim zdążył zebrać myśli, zniknęła przemykając ze zręcznością mistrza pilotażu przez ogień dział.

Nie miała broni, tylko coś, co wyglądało jak starożytny róg myśliwski.

Tex zaklął po cichu. Wiedział, co oznacza ten rogaty diadem.

To ona była wodzem wojennym!

Ludzie dotarli do parapetu w ostatniej chwili. Tex odstrzelił łeb miniaturowemu tyranozaurowi, uchylił się przed uderzeniem kolczastego ogona i zrzucił kolejną drabinę. Działa miarowo warczały, a u podnóża muru spiętrzyły się stosy ciał.

Tex widział, jak kobieta pogania swego latającego wierzchowca nad dziedzińcem kompleksu, widział, jak zapamiętuje plan tego miejsca – pomieszczeń mieszkalnych, zbiorników na wodę, kuchni, kabiny radiowej.

Pod wpływem jakiegoś wewnętrznego ostrzeżenia, które sprawiło, że zapomniał o całej swej niechęci do walki z tą kobietą, Tex wystrzelił.

Kula odcięła warkocz jej srebrnych włosów. Bladozielone płomienie oczu kobiety błysnęły na ułamek sekundy w jego stronę, a rozchylone wargi odkryły gadzie zęby, białe, małe i spiczaste.

Potem rzuciła swojego wierzchowca do szybkiej spiralnej wspinaczki i zniknęła, przebijając się przez smugi mgły i dymu prochowego.

Sekundę później Tex usłyszał łagodny dźwięk jej rogu, a napastnicy odwrócili się i zniknęli na bagnach.

W ten sposób, niemalże w jednej chwili, wszystko się skończyło. Jednak Tex, ciężko sapiąc i ocierając z czoła lepki pot, nie był zadowolony.

Chciałby, żeby się tak nie uśmiechała.

Ludzie z miotaczami ognia oczyścili fort z chrząszczy i zielonych węży. Jedna z grup spryskała olejem stosy ciał w dole i podpaliła je. Siatka została oczyszczona, ich polegli towarzysze, spaleni.

Tex, który był kapralem, zebrał ludzi i serce mu zamarło, kiedy ich przeliczył. Aby strzec fortu, który powinien być obsadzony przez siedemdziesięciu żołnierzy, pozostało ich trzydziestu dwóch.

Kolejny taki najazd i może nikt nie pozostanie przy życiu. Jednakże Texa dręczyło niepokojące przeczucie, że za tym atakiem stoi coś więcej niż tylko zwykła próba wzięcia fortu szturmem. Pomyślał o kobiecie, której mózg opracował te wszystkie paskudne plany – bomby żuków, zielone węże. Nie bez powodu ryzykowała głową, latając pod ogniem czterech baterii.

Odnalazł kosmyk srebrnych włosów, które odciął jego pocisk. Teraz wydawało mu się prawie, że poruszył się on złowrogim życiem w jego kieszeni.

Kapitan John Smith wyszedł z kabiny radia. Wychudzona twarz oficera była dziwnie nieruchoma, a jego szare oczy przypominały odłamki kamienia.

— Spocznij — rozkazał. Jego przyjemny angielski głos zabrzmiał tak samo martwo, jak cisza. — Właśnie dotarły do nas wieści z dowództwa regionalnego. Bagienni ludzie uderzyli dużymi siłami na wschód od nas i mocno zaatakowali Fort Nelson. Nasza kolumna ze zmianą została wysłana im na odsiecz.

— Przygotowywani są kolejni ludzie, ale jakakolwiek pomoc dotrze do nas najwcześniej za dwa tygodnie.

Gdy wiadomość dotarła do ludzi, Tex usłyszał wstrzymywane oddechy, podobne do sapnięcia po ciosie w brzuch. Zobaczył, ukradkiem umykające na boki spojrzenia, wodzące od gęstego, czarnego dymu wydobywającego się ze spalarni, do zbiorników na wodę i pękniętej kraty.

Ktoś jęknął. Tex usłyszał, jak Breska warknął: „Zamknij się!”. Jęczącym był Kuna, młody Marsjanin, który parę chwil wcześniej patrzył z bladą twarzą na kapitana.

Kapitan Smith ciągnął dalej.

— Nasza sytuacja jest poważna. Ale możemy wytrzymać kolejne dwa tygodnie. Trzeba będzie jeszcze ściślej racjonować zapasy i musimy w jak największym stopniu oszczędzać amunicję oraz siły ludzi. Ale wszyscy powinniśmy pamiętać o jednym. Pomoc nadejdzie. Kwatera Główna robi wszystko, co w jej mocy.

— Z pieniędzmi, jakie ma do dyspozycji — wyszeptał kwaśno Breska do ucha Texa. — Cholerni podatnicy!

— … i musimy wytrzymać tylko kilka dni dłużej. W końcu zgłosiliśmy się do tej roboty na ochotnika. Jowisz to dziewicza planeta. Jest dziki, niecywilizowany, nie zna prawa tylko brutalną siłę. Ale może zostać przekształcony w nowy wspaniały świat dla ludzi.

— Jeśli dobrze wykonamy naszą robotę, któregoś dnia te bagna zostaną osuszone, dżungle oczyszczone, tubylcy ucywilizowani. Mieszkańcy Ziemi i Marsa znajdą tutaj nową nadzieję i wolność. To zależy od nas.

Ponura, wychudzona twarz kapitana odprężyła się, a jego oczy zabłysły.

— Szkoda, że nie używamy naszych prawdziwych nazwisk — powiedział. — Ponieważ myślę, że umieścimy je na kartach podręczników historii!

Ludzie się roześmiali. Napięcie opadło z nich.

— Rozejść się — powiedział kapitan Smith i poszedł do swojej kwatery. Tex odwrócił się do Breski.

Marsjanin, o ciemno spalonej słońcem twarzy, ściskał za ramiona swojego młodego rodaka, jedynego oprócz niego Marsjanina w forcie.

— Posłuchaj — syknął Breska, świecąc białymi jak psie kły zębami. — Weź się w garść! Jeśli tego nie zrobisz, będziesz miał kłopoty.

Kuna zadrżał, a jego szerokie czarne oczy obserwowały dym z ciał, unoszący się we mgle.

Jego skóra nie miała opalenizny Breski. Tex domyślał się, że przybył z jednego z miast nad Kanałem, w których życie było łagodniejsze.

— Nie chcę umierać — powiedział cicho Kuna. — Nie chcę umierać w tej zgniłej mgle.

— Spokojnie, mały. — Tex potarł piaskowo-czerwony zarost na brodzie i uśmiechnął się. — Kapitan przeprowadzi nas przez to. Jest prawdziwym asem.

— Może. — Oczy Kuny powędrowały na Texa. — Ale dlaczego miałbym ryzykować?

Wstrząsnął nim nagle atak kaszlu. Kiedy znów się odezwał, jego głos podniósł się i stał się napięty jak struna skrzypiec.

— Dlaczego miałbym tu zostać i wykasływać swoje bebechy dla czegoś, co i tak nigdy nie nastąpi?

— Ponieważ — powiedział ponuro Breska — na Marsie są mężczyźni i kobiety uginający plecy i łamiący serca, aby wyrwać pustyni dostatecznie dużo chleba do przeżycia. Jesteś z miasta, Kuna. Czy widziałeś kiedyś głód, który ogarnia Suche Ziemie? Czy widziałeś kiedykolwiek ludzi z żebrami przecinającymi skórę? Kobiety i dzieci o twarzach jak czaszki? To dlatego tu jestem, wykasłując sobie bebechy w tej śmierdzącej mgle. Bo ludzie potrzebują ziemi i wody, do uprawy żywności.

Ciemne oczy Kuny wywróciły się, a Tex zmarszczył brwi. Widział ten sam nieobecny wyraz w oczach będącego na skraju paniki bydła.

— Co to za jęki? — powiedział ostro. — Zgłosiłeś się na ochotnika, prawda?

— Nie wiedziałem, co to oznacza — wyszeptał Kuna i zakaszlał. — Umrę, jeśli tu zostanę. Nie chcę umierać!

— I co — powiedział łagodnie Breska — zamierzasz zrobić w tej sprawie?

Kuna uśmiechnął się.

— Piękna była, prawda, Tex?

Teksańczyk drgnął.

— Myślę, że była, mały. Co z tego?

— Masz kosmyk jej włosów. Widziałem, jak zdejmujesz go z sieci. Sieć wkrótce zniknie, podobnie jak krata. Wtedy nie będzie już niczego, co

mogłoby utrzymać węże i chrząszcze z dala od nas. Ona będzie tam siedzieć, patrzeć na nas jak umieramy i śmiać się. Ale ja nie umrę, mówię wam! Nie umrę!

Zadrżał w rękach Breski i zaczął się śmiać. Jego śmiech przeszedł w cienki, wysoki krzyk przypominający zawodzenie pantery.

Breska trafił go dokładnie w sam czubek szczęki.

— Karaluch — mruknął, gdy przybiegło kilku ludzi. — Przyjdzie do siebie.

Zaciągnął Kunę do dormitorium i wrócił odrętwiały z kaszlu, po wysiłku. Tex dostrzegł ból na jego ciemnej twarzy.

— Posłuchaj — mruknął — lepiej poproś o urlop, kiedy nadejdzie zmiana.

— Jeśli tu w ogóle dotrze — wysapał Marsjanin. — Atak na Fort Nelson był tylko wymysłem, żeby odciągnąć nasze posiłki.

Tex skinął głową.

— Nawet gdyby to robactwo tam się przedarło, zatrzymałaby ich French River i skaliste wzgórza za nią.

W głowie ukształtowała się mu mapa pozycji Fortu Washington; kamiennego blokhauzu rządzącego wąskim jęzorem ziemi między pasami nieprzebytych bagien, zagradzającego drogę do doliny. Dolina prowadziła na wyżyny, rozdzielając się tak, że jedno z jej ramion biegło przez wiele mil równolegle do bagien.

Dla zaciekłych i niespokojnych ludzi, takich jak mieszkańcy bagien, nie byłoby wielkim problemem wylanie się wzdłuż tej doliny, zajęcie z zaskoczenia Fortu Albert i Fortu George, atakiem od tyłu, i utworzenie luki w kordonie granicznym, której w żaden sposób nie będzie można załatać na czas.

A wtedy hordy białowłosych wojowników wyroją się pod wodzą tej pięknej furii na skrzydlatym jaszczurze, poderwą spokojniejsze plemiona pasterskie przeciwko kolonistom i zmiotą obcych ludzi z powierzchni Jowisza[1].

— Może to im się udać — mruknął Tex. — Przewyższają nas liczebnie, tysiąc do jednego.

— A — dodał złośliwie Breska — wszawi podatnicy nie chcą nam dać nawet przyzwoitego sprzętu do walki.

Tex uśmiechnął się.

— Armia to zawsze niechciane dziecko. Myślę po prostu, że owce nigdy nie polubią owczarków. — Wzruszył ramionami. — Lepiej miej oko na Kunę. Może czegoś spróbować.

— A co mógłby zrobić? Jeśli zdezerteruje, przyłapią go na próbie ucieczki, jeśli dzikusy nie dopadną go pierwsze. Nie spróbuje.

Ale rano Kuna zniknął, a kosmyk srebrnych włosów z kieszeni Texa zniknął razem z nim.

[1] Ponownie, w oryginale w tym miejscu występuje Wenus (przyp. tłum.)

Upłynęło pięć gorących, parnych dni. Woda w zbiorniku opadała coraz niżej. Płatki rdzy sypały się z każdej metalowej powierzchni, przy najlżejszym dotknięciu.

Tex przykucnął na oślizgłym kamiennym bloku na dziedzińcu fortu, szyjąc łaty na spodniach, próbując podczas tej roboty zapomnieć o głodzie i pragnieniu. Mgła osadzała się kropelkami na rudawych włoskach jego nagich nóg, pokrywała twarz tłustą warstwą.

Breska przykucnął obok niego, kaszląc głębokimi, powolnymi spazmami. Pod obwisłą siatką ludzie apatycznie prali bieliznę w balii z przegotowaną bagienną wodą. Zawierała ona w sobie jakąś substancję chemiczną, powodującą uparte mdłości, bez względu na to, co się z nią zrobiło.

Tex popatrzył na nią, spragniony.

— Jezu — wymamrotał. — Czego bym nie dał za szklankę wody z lodem!

— Zamknij się — warknął Breska. — Właśnie zapomniałem o głodzie.

Zakaszlał, a jego ciemna twarz wykrzywiła się z bólu. Tex westchnął, próbując zignorować głód, który kąsał jego własny brzuch jak uwięziony wilk.

Pozostało jeszcze dziewięć dni. Jedzenie i woda ograniczone były do minimum. Części broni rdzewiały pomimo całego smaru, jaki mogli na nie nałożyć. Włókna sieci zrobiły się niebezpiecznie cienkie. Nawet igła w jego dłoni była zardzewiała, tak że szarpała materiał.

Z trzydziestu jeden ludzi, pozostałych po dezercji Kuny, stracili siedmiu; czterech przez zielone węże, które wśliznęły się przez połamane kratki odpływowe, trzech przez bomby żuków, przerzucane przez mury. Nie było kolejnych ataków. W ciemne, spowite mgłą noce bagienni ludzie, umazani czarnym błotem, podkradali się cicho pod ściany, dostarczali swe śmiertelne przesłanie i znikali.

Pomimo gorąca Tex wzdrygnął się. Jak długo potrwa ta cicha wojna? Bagienni ludzie musieli oczyścić fort zanim nadejdzie kolumna luzująca. Gdzie był Kuna i dlaczego ukradł mu kosmyk włosów? I jaki był plan dzikiej piękności, która wyprowadziła z bagien te przeklęte diabły?

Woda w balii chlapnęła. Ktoś zaklął, bo w tym paskudnym klimacie ubranie nigdy nie wysychało. Gorąco niewidocznego słońca przesączało się falami zaduchu.

I nagle strażnik na parapecie krzyknął.

— Coś wychodzi z bagien! Obsadzić działa!

Tex założył spodnie i pobiegł z innymi. Zbliżając się do obserwatora, wyjął pistolet i czekał.

Po przesmyku suchego lądu, w kierunku fortu, pełzło jakieś stworzenie. W pierwszej chwili myślał, że to jeden z pokrytych łuskami psów bojowych. Potem dostrzegł błysk szkarłatnych naszywek kołnierzu i krzyknął.

— Wstrzymać ogień, ludzie! To Kuna!

Szara, przygarbiona istota podeszła bliżej, wlokąc się na czworakach, ze zwieszoną, ciemną głową. Tex usłyszał obok siebie szorstki oddech Breski. Nagle Marsjanin odwrócił się i zbiegł po schodach.

— Nie wychodź na zewnątrz, Breska! — krzyknął Tex. — To może być pułapka.

Ale Marsjanin szedł dalej, szarpnął zardzewiałe rygle, które zamykały tylną bramę. Otworzyły się i wyszedł.

Tex wysłał ludzi, aby go pilnowali, spodziewając się, że w każdej chwili z mgły mogą wyskoczyć białe postacie i spróbować sforsować bramę.

Breska dotarł do pełznącej postaci, pociągnął ją i przerzucił przez ramię, po czym potykając się ruszył z powrotem.

Nadal nikt nie atakował. Tex zmarszczył brwi, trapiony jakimś głębokim niepokojem. Jeśli Kuna uciekł na bagna, nie powinien wrócić żywy. Gdzieś tu kryła się jakaś pułapka, niewidoczny, ale zabójczy fortel.

Cisza. Cienka mgiełka zwijała się leniwie pasemkami. Na bagnach nie zaszeleścił ani jeden liść.

Tex zaklął i zbiegł po schodach. Breska wbiegł przez bramę i upadł, kaszląc krwią, a Tex złapał Kunę.

Chłopiec wisiał w jego ramionach jak szary szkielet, kości jego twarzy prawie przecinały skórę. Usta miał otwarte. Język był czarny i spuchnięty, jak u człowieka umierającego z pragnienia. Zapadnięte, pożółkłe od gorączki oczy Kuny otworzyły się. Znalazły wannę, w której wciąż pływała zabrudzona odzież.

Z przypływem siły, który całkowicie zaskoczył Texa, chłopak wyrwał mu się i pobiegł do wody, zanurzając w niej twarz i łykając jak zwierzę.

Tex go odciągnął. Kuna upadł na ziemię, szlochając. Coś było nie tak z jego twarzą, ale Tex nie mógł powiedzieć, co.

— Nie pozwalali mi pić — szepnął. — Ciągle nie pozwalali mi pić. Muszę dostać wody. — Uczepił się palcami Texa. — Wody!

Tex wysłał kogoś po wodę, marszcząc brwi, próbując zrozumieć, co dziwnego jest w Kunie. Na bagnach były źródła słodkiej wody i nawet tubylcy nie mogli pić innej. Czy to tylko chęć tortur sprawiła, że odmawiali wody dezerterowi?

Tex złapał chłopca za kołnierz.

— Jak im uciekłeś?

Ale Kuna z wysiłkiem uniósł się na kolana.

— Breska — wysapał. — Breska!

Starszy mężczyzna spojrzał na niego, ocierając mu krew z ust. Kuna powiedział coś po marsjańsku, zwymiotował, zakrztusił się własną krwią i upadł ponownie na ziemię. Tex wiedział, że nie żyje.

— Co on powiedział, Breska?

Zęby Marsjanina błysnęły przez chwilę bielą.

— Powiedział, że chciałby mieć moje jaja. — Wyraz jego twarzy zmienił się nagle. Złapał Texa za ramię. — Spójrz, Tex! Spójrz na wodę!

Tam, gdzie przed chwilą była prawie pełna balia, na dnie pozostało tylko trochę wilgoci. Na oczach Texa również i ona zniknęła, pozostawiając suche drewno.

Tex podniósł jeden z podkoszulków. Był tak suchy, jakby wisiał na prerii w Teksasie. Dotknął swej twarzy. Skóra była w dotyku jak utwardzony przez słońce rzemień. Na włosach miał ani kropli mgły.

A przecież mgła była równie gęsta jak zawsze.

Kapitan Smith wyszedł z kabiny radiowej, spoglądając na sieć i działa. Tex usłyszał, jak nieświadomie mamrocze pod nosem.

— To rdza nas załatwi. To rdza, w końcu wyrzuci nas z Jowisza.

Tex powiedział:

— Panie kapitanie…

Smith popatrzył na niego, zaskoczony. Ale nawet nie miał czasu, by zapytać, o co chodzi. Obserwator wrzasnął. Nad ich głowami załopotały skrzydła. Z murów doleciały wystrzały z dział. Rozpoczął się atak.

Tex automatycznie pobiegł do pomostu. Mijając zwinięte ciało Kuny, zdał sobie sprawę z czegoś, co powinien był spostrzec już od razu.

— Ciało Kuny, kiedy wszedł do fortu, było suche. Zupełnie suche, nawet ubranie. — A potem: — Dlaczego bagienni ludzie czekali z atakiem, aż znajdzie się bezpiecznie w środku, a wrota zostaną zamknięte?

Nawet po wyłączeniu z walki jednej czwartej dział i wyeliminowaniu dwóch trzecich garnizonu, nadal utrzymywali przewagę dzięki swej silnej pozycji i potężnemu uzbrojeniu.

Nie było skoordynowanej próby sforsowania murów. Grupy białowłosych wojowników robiły wypady, ciskały bomby z żukami i worki zielonych węży, po czym wycofywały się we mgłę. Ponosili straty, ale niewielkie.

W powietrzu było inaczej. Dziwne, na wpół upierzone wierzchowce krążyły i pikowały, dosłownie nurkując w ogień dział, jeźdźcy miotali pociski z zabójczą dokładnością. Ale ginęli całymi dziesiątkami, ludzie i jaszczury.

Tex, czując dziwnie oszołomienie, strzelał automatycznie. Ciała wpadały do sieci. Płatki rdzy leciały jak deszcz. Patrząc na cienkie włókna sieci, Tex zastanawiał się jak długo jeszcze wytrzyma.

Nagle dostrzegł to, czego podświadomie szukał. Była tam, lecąc wysoko nad wirem bitwy, jej srebrne włosy powiewały, ciało wyglądało we mgle jak opalizująca perła.

Kapitan Smith odezwał się cicho.

— Widzisz, co ona knuje, Tex? Ci lotnicy są ochotnikami. Ich zadanie polega na zabiciu jak największej liczby naszych ludzi, zanim sami umrą, ale mają spadać w mury! W sieć, Tex. Aby osłabić ją, zerwać, jeśli to możliwe.

Tex skinął głową.

— A kiedy to się stanie…

— Będzie po nas. Nie mamy wystarczającej liczby ludzi, żeby ich pokonać, jeśli dostaną się za mury.

Smith potarł mały wojskowy wąsik, była to jedyna oznaka zdenerwowania. Tex dostrzegł, że drgnął, zobaczył, jak ze zdumieniem dotyka włosów, a potem dotyka skóry, tuniki, włosów.

— Suche — powiedział i popatrzył na mgłę. — Dobry Boże, suche!

— Tak — odparł ponuro Tex. — Kuna to przyniósł. Nie mógł się zamoczyć, nawet kiedy próbował pić. To coś, co zjada wodę. Nawet jeśli sieć wytrzyma, umrzemy z pragnienia, zanim dotrą posiłki.

Odwrócił się z nagłą wściekłością do odległej postaci kobiety i bezskutecznie opróżnił magazynek w stronę jej szybko poruszającego się ciała.

— Oszczędzaj amunicję — ostrzegł Smith i nagle ostro krzyknął.

Tex widział to, malutkie zielone stworzenie, które owinęło mu się wokół nadgarstka. Wyciągnął nóż i rzucił się do przodu, ale wąż już niewiarygodnie urósł. Smith na próżno próbował go oderwać.

Tex zdołał zadać jedno cięcie, jego nóż bezskutecznie ześlizgnął się na gumowatym ciele o ogromnej kurczliwości. Wtedy zaczął działać jad. Twarz oficera wykrzywiła się w wyrazie szaleństwa. Jego pistolet uniósł się i zaczął pluć kulami.

Tex z ponurą miną wystrzelił pistolet z dłoni Smitha i uderzył go lufą. Smith upadł. Ale wąż już przerzucił zwój wokół szyi i zacisnął na niej uchwyt.

Tex ciął gumowate ciało. Obity jakby ciężkim biczem, stanął wreszcie z ciałem węża ciągle wijącym się w jego dłoni.

Kapitan Smith nie żył, a szczęki węża tkwiły w jego gardle.

Mgliście Tex usłyszał ciche dźwięki rogu wojennego wodza. Niebo oczyściło się z resztek samobójczych oddziałów. Atakujący na ziemi, zniknęli na bagnach. Wtedy kobieta gwałtownie zawróciła wierzchowca i pomknęła prosto w stronę fortu.

Wokół niej buchały kłęby dymu, ale nie została trafiona. Zeszła tak nisko nad parapet muru, że Tex zobaczył źrenice jej bladozielonych oczu, witalne ruchy mięśni pod perłową skórą.

Próbował strzelić do niej, ale jego broń była pusta.

Uniosła wysoko jedną rękę w szyderczym pozdrowieniu i zniknęła. Za plecami Texa odezwał się cicho Breska.

— Teraz ty dowodzisz. Ale zostało nas tylko czternastu.

Tex stał, wpatrując się w martwych i umierających, uwięzionych w pordzewiałej sieci. Nagle poczuł się zmęczony; tak zmęczony, że samo stanie i przyglądanie się wydawało się zbyt wyczerpujące dla resztek jego sił.

Nie chciał już dłużej walczyć. Chciał pić, spać i zapomnieć.

Był tylko jeden możliwy koniec. Jego usta i gardło zaschły od tej dziwnej nowej suchości, pragnienie wzmogło się stokrotnie. Bagienni ludzie musieli już tylko czekać. Za tydzień będą mogli zająć fort bez straty człowieka.

Nawet przy zmniejszonej liczbie obrońców ta diabelska sztuczka sprawiła, że pozostałe im zasoby wody były niewystarczające. I wtedy przyszła mu do głowy inna myśl.

Przypuśćmy, że to diabelstwo zostanie tutaj, więc nawet jeśli jakimś cudem garnizon się obroni, utrzymanie fortu byłoby niemożliwe bez względu na to, ilu byłoby w nim żołnierzy oraz jak duże mieliby zapasy wody.

Ludzie patrzyli na niego. Tex rzucił martwego węża na pomost, gdzie zniknął on pod całunem szkarłatnych chrząszczy.

— Posprzątać ten bałagan — rozkazał automatycznie Tex.

Czarne oczy Breski błyszczały i spoglądały twardo. Dlaczego ludzie się nie ruszyli?

— No, dalej — warknął Tex. — Jestem tu teraz oficerem dowodzącym.

Ludzie zajęli się swoim zadaniem z dziwną niechęcią. Jeden z nich, wielki drab z blizną na twarzy i czupryną włosów znacznie czerwieńszych niż Texa, stał długo po odejściu pozostałych, obserwując go zwężonymi, zielonymi oczami.

Tex powoli zszedł do kompleksu. W sieci nie było dziur, ale kilka następnych dni rdzewienia mogło je utworzyć.

Jaki był sens dalszej walki? Gdyby teraz się wycofali, mogliby wyjść z tego z życiem. Kwatera Główna mogłaby wysłać nowe oddziały, odbić Fort Washington.

Ale Kwatera Główna nie miała zbyt wielu ludzi do dyspozycji. A kobieta z oczami jak bladozielone płomienie nie marnowałaby czasu.

Jakieś spadające ciało zmiażdżyło bombę z żukami, złapaną w sieć. Szkarłatne stworzenia spadały jak krople krwi na ciało Kuny. Tex uśmiechnął się krzywo. Za kilka sekund z ciała, które Kuna tak bardzo cenił, nie zostanie nic.

A potem Tex przetarł swoje zmęczone, niebieskie oczy piegowatymi dłońmi, zastanawiając się czy w końcu nie zaczął majaczyć.

Chrząszcze nie jadły Kuny.

Krążyły wokół niego niespokojnie, wąchając mięso, ale go nie dotykały. Jego twarz pod kłębami mgły wyglądała jak wyschnięty pergamin. I nagle Tex zrozumiał.

— To dlatego, że on jest suchy. Nie dotkną niczego, co jest suche.

Lekkomyślnie włożył rękę w szkarłatny strumień. Ten rozdzielił się i opływał ją, gardząc spieczonym ciałem.

Tex roześmiał się metalicznym śmiechem z nutą histerii. Teraz, kiedy i tak musieli umrzeć, mogli się nie przejmować bombami żuków.

Stopy, wiele z nich, otoczyło miejsce, w którym klęczał. Nad nim stał rudowłosy olbrzym z zielonymi oczami, a za jego plecami ludzie z ponurymi, twardymi twarzami.

Rudy żołnierz, który nazywał się Bull, trzymał w dłoni pistolet. Powiedział szorstko:

— Odchodzimy, Tex.

Tex wstał.

— Tak?

— Tak. Uważamy, że nie ma sensu tu zostawać. Idziesz z nami?

Dlaczego by nie? To była jego jedyna szansa na ocalenie życia. Nie miał żadnych sentymentów dla kolonii. Wstąpił do Legionu w poszukiwaniu przygód.

Potem popatrzył na Kunę i Breskę, myśląc o tych wszystkich ludziach z dwóch planet, którzy potrzebowali ziemi i wody do uprawy żywności. Coś, być może jakiś przodek, który zginął w Alamo, sprawiło, że pokręcił przecząco otępiałą głową.

— Raczej nie — powiedział. — I myślę, że wy też nie.

Był szybki w wyciąganiu broni, ale Bull miał już swoją w ręce. Kula łupnęła w głowę Texa. Świat eksplodował w ognistej ciemności, przez którą usłyszał głos Breski:

— Jasne, Bull. Dlaczego miałbym tu zostawać, żeby umrzeć na darmo?

Tex próbował krzyknąć, ale zatopiła go czerń.

Doszedł do siebie, leżąc na pomoście.

Głowę miał zabandażowaną. Marszcząc brwi, otworzył oczy, mrugając z bólu.

Nad najbliższym działem pochylał się Breska, gwiżdżąc cicho przez zęby. „The Lone Prairee”[1]. Tex patrzył z niedowierzaniem.

— My… myślałem, że odszedłeś razem z innymi.

Breska wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Po prostu nie byłem tak głupi jak ty. Trzymałem się z tyłu, aż wszyscy wyszli na zewnątrz, a potem zaryglowałem wrota. Widziałem, że nie jesteś martwy i… no cóż, ten kaszel i tak by mnie dopadł, no i nienawidzę wytężonych marszy. Tylko po nich pełno pęcherzy na nogach.

Uśmiechnęli się do siebie od ucha do ucha. Tex stwierdził:

— Jesteśmy parą cholernych głupców, ale wydaje mi się, że nic na to nie poradzimy. Dobra. Zobaczymy, jak długo uda nam się ich zwodzić. — Wstał ostrożnie. — Kapitan miał parę książek w kwaterze. Może któraś z nich wyjaśni nam, co to za suchość.

Breska zakaszlał i skinął głową.

— Ja będę trzymał wartę.

Gardło Texa paliło, ale bał się pić. Jeśli woda wyparuje mu z ust, tak jak u Kuny...

Musiał spróbować. Niewiedza była gorsza niż najgorsza nawet wiedza. Sekundę później stał z pustym kubkiem w dłoni, walcząc z paniką.

Połowa wody zniknęła, zanim przytknął kubek do ust. Reszta nigdy nie dotknęła jego języka. A jednak, niczego nawet nie zauważył, niczego nie poczuł. Nic, tylko suchość.

Odwrócił się i pobiegł do kwatery kapitana Smitha.

Dżungle Jowisza, Hertforda, najobszerniejsza praca na temat wciąż prawie nieznanych terytoriów, leżała pomiędzy *Taktyką polową* Kellanda i *Alicją w Krainie Czarów*. Tex wziął ją, przeglądając i wspinając się na mury.

— Jest — powiedział nagle. — Suche Plamy. Jest to dosyć powszechne zjawisko w niektórych częściach mokradeł. Prawdopodobnie naturalna

[1] Tradycyjna piosenka kowbojska, spisana i opracowana muzycznie w 1905 roku przez amerykańskiego kompozytora Arthura Farwella (przyp. tłum.)

metoda zachowania równowagi wolnego tlenu w atmosferze, powodowana przez kolonie ultra-mikroskopijnych organizmów zwierzęcych, rozprzestrzeniających się najwyraźniej z wykorzystaniem zarodników przenoszonych przez zwierzęta, które wkraczają na suche obszary.

— Te organizmy zwierzęce przyczepiają się do żywicieli, nieożywionych lub ożywionych, i pochłaniają całą znajdującą się w pobliżu parę wodną lub wodę, wykorzystując wodór w jeszcze nieokreślony sposób i uwalniając wolny tlen. Przechodzą w stan uśpienia w porze deszczowej, najwyraźniej nie będąc w stanie poradzić sobie z nadmiarem bieżącej wody. Rozprzestrzeniają się tylko w określonych granicach, a życie każdej ich kolonii trwa około trzech tygodni, po czym ginie ona.

— Deszcze rozpoczną się za mniej więcej tydzień — zauważył Breska. — Nasza odsiecz nie nadejdzie tutaj wcześniej niż za jakieś dziewięć dni. Mogą nas załatwić wężami i bombami z żukami, albo pozwolić nam oszaleć z pragnienia. Pierwszy deszcz oczyści te mikro… jak je tam nazwałeś, i pozwoli im wejść do środka. Potem będą mogli wymordować naszych chłopców, kiedy tutaj nadejdą, i wyrzucić nas zupełnie z Jowisza.

Tex powiedział mu o Kunie i chrząszczach.

— Węże prawdopodobnie też nie będą nas chciały tknąć. — Uderzył piegowatą pięścią w kamienie murów. Gdybyśmy tylko znaleźli jakiś sposób na picie i gdyby broń oraz sieć nie przerdzewiały, moglibyśmy ich powstrzymać wystarczająco długo.

— Gdybyśmy — burknął Breska. — Gdybyśmy byli w niebie, nie musielibyśmy w ogóle się niczym martwić.

Dni, które nastąpiły potem, rozmyły się w oparach pragnienia i nieustannego wypatrywania. Aby łatwiej było się bronić, zostawili tylko jedną drogę z parapetu przez siatkę. Wzięli najmniej zardzewiały karabin maszynowy i wypełnili nim tę niewielką lukę. Mogli się tam trzymać, dopóki nie padną z nóg lub nie podda się sama sieć.

Zmarnowali kilka litrów wody na daremne próby picia. Potem zrezygnowali. Ostateczna ironia całej tej sytuacji, rozśmieszyła Texa.

— Oto my, szlachetni do bólu, i nie ma to żadnego znaczenia. Kapitan miał rację. To rdza, w końcu wyrzuci nas z Jowisza[1] – ona i te Suche Plamy.

Jedzenie wzmagało pragnienie. Przestali jeść. Zmienili się w żywe szkielety, poruszające się niemrawo w parnym upale. Breska przestał kaszleć.

— Oddychanie suchym powietrzem — stwierdził chrapliwym szeptem. — To tak zabawne, że chce mi się śmiać.

Szkarłatny chrząszcz pełznął po twarzy Texa, leżącego obok Marsjanina na pomoście. Strzepnął go, przeciągając słabymi palcami po czole. Jego skóra była sucha, ale nie tak bardzo sucha, jak ją pamiętał po wietrznych dniach na prerii.

---

[1] I jeszcze raz, w oryginale w tym miejscu występuje Wenus (przyp. tłum.)

— Zabawne, że nie usunęło więcej tłuszczu ze skóry. — Nagle z trudem uniósł się do pozycji siedzącej. — Tłuszcz! Może to zadziała. O Boże, żeby zadziałało! Musi!

Breska przyglądał mu się zapadniętymi oczami, gdy na wpół staczał się ze schodów. Nagle dźwięk z góry przyciągnął wzrok Marsjanina.

— Zwiadowca, Tex! Zaatakują!

Tex go nie słyszał. Cała jego jestestwo skupione było na jednej rzeczy – na czymś, co mogło oznaczać różnicę między życiem a śmiercią.

Kiedy z zamgloną głową dotarł do pokoju, w którym trzymano olej, Tex usłyszał narastający łopot skrzydeł. Jęknął. Żeby Breska wytrzymał choć chwilę.

Odkręcenie kranu beczki z olejem wymagało od niego wszystkich sił. Była pusta. Cała jej zawartość została zużyta do palenia ciał. Prawie z płaczem, Tex poczołgał się do następnej i następnej. Dopiero z czwartej beczki poleciał czarny, lepki płyn.

Tex rozchylił zesztywniałe wargi i pił.

Gdyby miał cokolwiek w żołądku, zwymiotowałby. Ohydny płyn pokrył wargi, język, gardło. Na zewnątrz odezwał się ostro karabin Breski. Tex powlókł się do zbiornika na wodę.

„Bieżąca woda" — pomyślał. Przechylając głowę pod kranikiem, odkręcił zawór. Bryznęła woda. Część uderzyła go w skórę i znikła. Ale reszta spłynęła po jego pokrytym olejem gardle. Czuł ją w żołądku, ciepłą, słonawą i cudowną.

Roześmiał się i wydał z siebie dziki wrzask buntu. Potem odwrócił się i wypadł z powrotem na zewnątrz, pędząc w stronę schodów.

Sieć uginała pod ciężarem białowłosych wojowników i ryczących jaszczurów. Karabin Breski zakrztusił się i zamilkł. Tex jęknął w strasznej udręce.

Było za późno. Rdza ich pokonała.

Jego piegowata, umazana olejem twarz zacisnęła się w ponurym wyrazie. Wyciągnął broń i ruszył na schody.

— Gdzie, u diabła, byłeś? — warknął Breska. — Pas z amunicją się zaciął.

Chwycił drugi karabin umieszczony w wąskim przejściu.

A więc, to nie rdza! Tex zdał sobie sprawę z czegoś innego. Z sieci nie spadł nawet płatek pordzewiałego metalu.

Coś powstrzymało rdzewienie. Wcześniej jego fizyczna udręka była zbyt wielka, by dostrzec, że włókna sieci nie robiły się cieńsze, a lufy karabinów nie rdzewiały.

Strzępki wyjaśnienia przemknęły przez umysł Texa. Kaszel Breski ustał, bo powietrze wysychało, zanim dotarło do płuc. Suchy kamień. Sucha odzież.

Suchy metal! Organizmy pochłaniające wodę utrzymywały jego powierzchnię w suchości. Nie mogło być rdzy.

— Mamy ich, Breska! Na Boga, mamy ich!

Odsunął Marsjanina na bok i nacisnął spust karabinu. Przekrzykując huk, wyjaśnił Bresce, jak może się napić, i pchnął go na dół po schodach. Przez kilka minut sam był w stanie utrzymać przejście.

Spoglądając w górę, Tex odnalazł ją, lecącą nisko nad polem bitwy, jej srebrne włosy fruwały na wietrze. Tex krzyknął do niej.

— To dzięki tobie! Przechytrzyłaś się, pani. Wskazałaś nam sposób!

Naukowcy dowiedzą się, jak można wykorzystać Suche Plamy do powstrzymania rdzy, tak by żołnierze nadal mogli pić.

I pewnego dnia, bagna zostaną osuszone, a mężczyźni i kobiety znajdą tu na Jowiszu nowe bogactwo, nowe życie, nowe horyzonty.

Breska wrócił z uśmiechem i zaczął zmagać się z zacięciem karabinu. Białe ciała zaczęły zbierać się na stosach, zmieszane z gadzimi zwłokami psów wojennych. I wkrótce z góry spłynęły nuty rogu wodza, a napastnicy zniknęli z powrotem w bagnach.

Nagle, nawracając wierzchowcem od pozostałych, dzika wojowniczka zanurkowała nisko nad balustradę. Tex wstrzymał ogień. Przez chwilę myślał, że wbije w nich swojego jaszczura. Potem, w ostatniej sekundzie, podciągnęła go do góry, wznosząc się z łopotem.

Jej twarz przypominała wściekłą maskę z perłowej masy, ale w bladozielonych oczach kobiety widać było wątpliwości, początek pełnego respektu strachu. Potem zniknęła, pochylona nisko nad wierzchowcem, jej srebrne włosy zakrywały jej twarz.

Breska patrzył, jak odlatuje.

— Za Marsa — powiedział cicho.

Potem zaczął walić Texa w klatkę piersiową, aż ten ostatni się skrzywił.

Dwa głosy, skrzekliwe, ochrypłe i niemelodyjne, płynęły za wycofującą się postacią białowłosej wojowniczki.

— Och, nie chowajcie nas na samotnej prer-i-i…

KONIEC